



„Prasa-Książka-Ruch”

Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza

RSW

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA KRAKOWSKA

ul. Wicłupole 1
31-072 Kraków

9 5 2 2 2 3 -04-89

TEATR

Kiedyś — ogromnie zaśluzony, więc prawem paradoksu pozbawiony stanowiska — b. dyrektor Starego Teatru, a jednocześnie wybitny reżyser (przed dyrektowaniem i po jego zakończeniu) Teatru im. J. Słowackiego: Władysław Krzemiński, wystawił tamże przed prawie ćwierćwieczem, w przeróbce własnej i Ludwika Jęrzego Kerna, komedię słynnego Lorda Paradoxa *Mój brat niepoprawny*. Lord Paradox, to oczywiście Oskar Wilde (1856—1900), angielski poeta, prozaik i dramaturg pochodzenia irlandzkiego, autor głośnej swego czasu powieści *Portret Doriana Graya* i cieszących się powodzeniem, ze względu na błyskotliwy oraz pełen przewrotności dowcip sztuk teatralnych. Do nich należy niewątpliwie m. in. *Wachlarz lady Windermere*, *Mąż idealny* i *Bądźmy poważni na serio*. Ostatni utwór grywany był u nas zazwyczaj w tłumaczeniu B. Górczyńskiego jako *Mój brat marnotrawny*.

Pod tytułem *Mojego brata niepoprawnego* duet autorski Krzemiński-Kern przedstawił „lekką komedię dla poważnych ludzi”, oprawioną scenograficznie, jakby bibułkowo, przez Andrzeja Majewskiego, w charakterze... musicalu, czyli coraz modniejszej wtedy na Zachodzie formy popularyzowania klasycznych dzieł teatralnych. Muzykę do spektaklu z r. 1965 skomponował Tadeusz Dobrzański. Grały też dwa forteplany (a na nich M. Niwelt i J. Czarnik) zaś w tej umuzyycznionej wersji dramatu śpiewali oraz parlandowali nie byle jacy aktorzy, bawiało wyborną, zgromadzoną publiczność: Maria Malicka, Aleksandra Górka, Halina Zając, Jadwiga Baranówna, Jerzy Kamas, Andrzej Szajewski, Juliusz Grabowski, Rafał Kąkol, Jan Norwid Świątna to była rozrywka w klimacie i duchu przekory. Ostrze satyryczne zarówno adaptacji scenicznej, jak i samego słuchowidlowiska, zostało skierowane — o czym wówczas pisałem — przeciw reliktom idylotycznej obyczajowości snobistyczno-mieszczańskiej i podporządkowaniu uczuć władzy pieniądza. Zgrabna intryga, rozśmieszające sytuacje, bystre spostrzeżenia paradoksów życia bezpretensjonalnie bawiły publiczność. Nawet, jeśli sporo spraw społeczno-obyczajowych uległo od r. 1895 (kiedy powstał ten utwór) nadgrzewieniom tzw. zęba czasu.

Teraz *Bądźmy poważni na serio* w przekładzie Cecylii Wojewodu odżywa na scenie TEATRU KAMERALNEGO. Inscenizacji komedii podjął się gość z Wielkiej Brytanii, reżyser Kevin Anthony Hayes, zaś dekoracje i kostiumy zaprojektowała para niedawnych jubilatów: Lidia Mintcz i Jerzy Skarżyński. Zaczniemy więc od scenerii. Wywołuje ona w i akcie salonnym wyraźnie potraktowanym „oleodrukowo”, wrażenie dość zbliżone do prób pastiszu, by podczas II aktu w plenerze posiadłości wiejskiej, już ze znacznie wycienionym dowcipem malarskim poprzez ujęcia kolorowo cętkowanych krzewów ogrodu, nadać obrazowi kontury bardziej parodystyczne. Jakby otwierając pole do aktu III — pełnej parodii.

Owe barwy i ton parodystyczny stał się patro-

gdyż tekst Wilde'a został naszpikowany satyrycznymi akcentami, które zjadliwie lecz utrzymując się w granicach artystycznej finezji (zgodnie z wyznawaniem przez pisarza estetyzmem, choćby i skrajnym) ośmieszają bezparadonowo snobizmy społeczne i konwenanse występujące w sposób spotęgowany u ludzi pyśkających, choć z ptasimi móżdżkami. Komedia istotnie staje się parodią *high life'u*, czyli pretensjonalności anglosaskiego (i nie tylko) towarzystwa z wyższych sfer.

Jednakże przedstawienie wraz z rozwojem akcji zamienia się w parodię... parodii. Wprowadza bowiem, bez żadnego uzasadnienia ze strony literackiej materii oraz logiki działań teatralnych, przerysowania groteskowo-burleskowe. I ztraca specyficzny smak a także filozoficzną (tu i ówdzie) głębię dramaturgiczną całego zabiegu parodystycznego. Zamiast wzmoc-

Zły duch przekory

nienia kolorytu oraz intelektualnej przewrotności żartu, komedia doznaje stopniowo spłaszczenia i uproszczeń gatunku humoru — zarówno pod kątem chwytów reżyserskich, jak i przejawów skrawionych środków wyrazu aktorskiego. Przy czym interpretacje ról wynikają z wizji reżysera, który przysłowiowe poczucie humoru angielskiego sprowadził na scenie prawie wyłącznie do dwóch schematów: wzorca, przejętego żywcem z filmowych burlesek epoki niemej kina, połączonych z modelem współcześnie „wzbogacającym” czyli ze scenkami telewizyjnych Muppetów; i to tymi najprymitywniejszymi. Co, rzecz prosta, samo dla siebie bywa i jest arcymieszne, lecz w melanzu teatralno-literackim stylu oraz klasy Oskara Wilde'a daje dość opłakane wyniki. Mimo wzbudzania niekiedy rechotliwego odzewu po drugiej stronie rampy. Odnoszę wrażenie, iż owej materii śmiechu pomieszanie, wywołać może wprowadzie u mniej wybrednych słuchaczy i widzów — uśmieszki i głośniejsze nawet chichoty, ale akurat nie na miarę rozrywkową najwyższej jakości. Stara to prawda, że nie należy przecież pokazywać widowni wygłupiania się bohaterów scenicznych wyłącznie przy pomocy dosłownego wygłupu, bez podbudowy artystyczno-warsztatowej w sensie wykonawczym. To znaczy, jak niestety czasem wykazuje praktyka, można pokazywać, tyle że zastosowawszy taką „metodę” zubażać się wartość i rangę nawet najlżejszej, lecz ambitnej pisarsko, farsy...

Bądźmy tedy poważni na serio i skwitujmy tymi właśnie słowami Wilde'a polsko-angielski wysiłek Teatru Kameralnego: spektaklu w miarę zabawnego, ale ponad miarę „przeciągniętego” w kierunku grepsowo-groteskowym, wskutek czego częściej daje się zaobserwować zewnętrzne objawy krotchwilności, na granicy mizdrzenia się pod publiczność, aniżeli zaplanowaną (prawdopodobnie) parodię groteskowych zachowań ludzkich. Uniwersalnych, bo nie tylko rodem z obyczajowości cór i synów Albionu i rodzajowości — na którą, z uporem godnym lepszej sprawy, główny nacisk postawił w widowisku reżyser, a za nim wykonawcy ról.

Trzeba przypomnieć, że komedia Wilde'a cechuje zrzęca konstrukcja dramatyczna, pełna zabawnych spięć. Głównym bohaterem staje się w niej brat-lekkoduch dość dziwnego właściciela posiadłości ziemskiej, który opiekuje się młodą wychowanicą. Brat ten jest... wymysłem mitomana, a przez to postacią zbliżoną do mitomańskiego otoczenia lordów, utytułowanych pań oraz niemającego zastępu pomniejszych kandydatów na snobów różnej maści. Rozwiązanie intrygi — powiązane z farsową „śmiercią” ni istniejącego brata marnotrawnego, a następnie ze zdobyciem posażnej panny przez osierocone go jakby jedynaka-znajdę (który okazał się naturalnie siostrzeńcem lady, przyszłej teściowej porzuconym przez rozżartowaną guwernantkę, talentami literackimi, na dworcu kolejowym skąd podrutek wziął nazwisko) oraz szeregiem perypetii towarzyszących zasadniczemu wątkowi sztuki — daje pogląd na wielkie możliwości komediowego kunsztu dramaturga. I gdyby jeszcze inscenizacja nie próbowała nakładać na wyrazistą satyrę Wildeowską warstw znaczeniowych, podwójnie rozśmieszających, nie do wierzenia odbiorowi publiczności oraz autorowi, można by zaryzykować przypuszczenie, że i na scenie, i na widowni, byłoby dużo więcej śmiechów i radości niż w zabawie. Zabawa natomiast, jaka była, wyglądała raczej na wymuszoną. Pomimo wysiłku aktorów: Edwarda Lubaszewskiego jako, myślącami, zbyt prorysowanego acz ogromnie śmiesznego brata brata (Johna Worthinga), mniej groteskowego ale bardziej parodiowo ukazanego snoba, przyjaciela Worthinga, Algernona Moncrieffa (Zygmunt Józefczak), jego ciotki, wytwornej super-snobki Lady Bracknell (Ewa Ciepła), która wpada we własne sidła obyczajowe, jej córkę-snobki-gęsi starającej się połączyć cegły ptasie z lisimi, Gwendoliny Fairfax (Magda Jarosz), do ręki której i pieniędzy konkurują Worthing, a także snobki-literatki w skórze guwernantki uwodzącej pastora, Miss Prism (Margitta Dukiet) oraz Beaty Paluch uosabiającej wdzięk i wdzięk młodej obłudnicy Cecylii wychowanki Worthinga, zarzucającej silec małżeńskie na przyjaciela jej opiekuna, Moncrieffa, udającego rzekomego brata tegoż opiekuna, czwreszcie dwuznacznego kanonika (Stefan Szramel) i dwóch służących, z których śpiewając Lane (Rajmund Jarosz) od Algernona, mia prawdziwe zadatki na parodystę snoba — tego pana — w przeciwieństwie do wiejskiego lokaja Worthinga, Merrimana (Dariusz Drózd) jakby przybyłego z całkiem innej sztuki

JERZY BOBEI